



Mirosław Derecki
FRYZJER Z KARPACKIEJ BRYGADY:
ODLOT BOCIANÓW

Po południu 19 września 10 brygada kawalerii zmotoryzowanej pułkownika Stanisława Maczka zaczęła przekraczać granicę polsko-węgierską. Od rana padał deszcz, wzgórza otaczające Przełęcz Tatarską, przez którą wiodła droga na Węgry, spowijała mgła. We wczesnie zapadającym zmierzchu polscy żołnierze coraz trudniej rozróżniali zarysy krytych słomą chat porozrzucanych grupkami po rozległym, falistym taranie. Za to z każdym obrotem kół samochodów coraz wyraźniej widać było moknącą na deszczu grupkę żołnierzy węgierskich stojących przy niewielkiej budce granicznej.

Po latach ówczesny szef sztabu 10 b.k., major Franciszek Skibiński, miał napisać w swych wspomnieniach wojennych słowa, które były chyba odbiciem myśli wszystkich żołnierzy, żegnających się wtedy a krajem: *Nie było łatwo zrobić pierwszy krok poza malowany szlaban, za którym stała już straż węgierska w obcych mundurach i pozostawić za sobą Polskę, choć nie widzieliśmy innego wyjścia, choć przekraczaliśmy granicę na wyraźny rozkaz i nie w ucieczce, unosząc własną skórę, ale właśnie po to, aby dalej bić się za Polskę.*

Mimo że od pierwszego września, od Krakowa aż pod Lwów, brygada toczyła nieustanne, zacięte boje z przeważającymi siłami wroga, odstępowała teraz w doskonałym porządku, unosząc z pola walk większość sprzętu bojowego, wiodąc w dodatku na Węgry sporo zdobycznych samochodów i broni niemieckiej. W marszowej kolumnie nie było widać tylko czołgów - Vickersów i lekkich TKS-ów, które bądź uległy zniszczeniu w czasie bitew, bądź zabrakło dla nich benzyny. Jednostka zachowała natomiast wszystkie działa, wszystkie moździerze, działka przeciwlotnicze i najcięższe karabiny maszynowo.

Szedł więc 24 pułk Ułanów z Kraśnika - z białymi proporczykami na kołnierzach - pod dowództwem pułkownika Dworaka i 10 Pułk Strzelców Konnych z Łańcuta - z proporczykami zielono-żółtymi - który wiodł podpułkownik Bokszczanin, toczyły się działa 16 dywizjonu artylerii motorowej, szedł dywizjon 37-milimetrowych armat przeciwpancernych i bateria artylerii przeciwlotniczej porucznika Zwila. Zaś na jednej z ciężarówek tej baterii jechał młody, dwudziestoczteroletni mężczyzna z naszywkami kaprała, uwożący w swym plecaku za granicę, poza zwykłym dobytkiem żołnierskim także komplet

przyborów fryzjerskich - Zygmunt Filipowicz, w cywilu fryzjer męski z dalekiego, prowincjonalnego Lubartowa.

Ani przypuszczał wtedy, że droga powrotna do owego Lubartowa zajmie mu siedem najbliższych lat, przebiegnie przez trzy kontynenty, a wyznaczać ją będą tak zagubiona na razie gdzieś na mapach świata punkty, jak Tobruk i Monte Cassino. Nie wiedział też, że schowane na dnie plecaka brzytwa i maszynka do strzyżenia niejedną raz pomogą mu wydostać się podczas tej drogi z różnych tarapatów życiowych.

Wojsko szło na ziemię węgierską z przeświadczeniem, że tam nastąpi wkrótce przegrupowanie sił polskich i nowa armia znów ruszy na północ, do walki z Niemcami. Dlatego brygada tak wiele wysiłku wkładała w doprowadzania na Węgry sprzętu w jak najlepszym stanie. Nikt nie wiedział, że batalia wrześniowa jest już definitywnie przegrana, że 17 września rząd polski przekroczył most na Czeremoszu i uciekł do Rumunii, że gdy oni biedzą się ze swoimi działaniami, prezydent Mościcki jest już w drodze do miejsca odosobnienia - zameczku króla Karola w Bicaz, a Naczelnny Wódz, Rydz-Śmigły, został przez władze rumuńskie skierowany do Cralova. Toteż nie żalowali żołnierze wysiłku, aby wydobyć na drogę jedno z dział, które przy zjeździe z Przełęczą Tatarskiej stoczyło się wraz z ciągnikiem na dno wąwozu. Podczas wypadku zginęło kilku żołnierzy. Tak to w tragiczny sposób zakończyła się dla 10 brygady kawalerii zmotoryzowanej kampania wrześniowa. Zaś całkowita klęska jednostki nastąpiła w dwa dni później, gdy pod miastem Beregszösz brygada pułkownika Maczka musiała zdać bron i oporządzenie, a jej oficerowie i żołnierze odjechali do obozów dla internowanych. Tylko major Skibiński i kilku innych oficerów zmylili czujność Węgrów i z istic kawaleryjską fantazją, samochodem sztabowym, w pełnym umundurowaniu i przy broni - przedarli się do Budapesztu, skąd w dwie doby później dotarli do Francji.

Tam też brygada miała się wkrótce odrodzić. Już 13 czerwca 1940 r. 10 brygada kawalerii pancerniej generała Maczko, licząca ponad 5 tysięcy żołnierzy jednostka, nawiązała na polach Szampanii walki z Niemcami.

Gdy do obozów internowanych na Węgrzech i w Rumunii żołnierzy doszła wieść o tworzeniu się we Francji polskiej armii, zaczęły się ucieczki przez wiele granic, pielgrzymka do odradzających się macierzystych jednostek. W obozach, w polskich ambasadach i w pobliżu granic wiodących ku Francji tworzone punkty przerzutowe. Drogą morską, przez Konstancę, Split i Marsylię, a lądową - przez Jugosławię i Włochy przedarło się do Francji ok. 34 tys. żołnierzy.

Zygmunt Filipowicz zdołał wydostać się z obozu dopiero w maju 1940 r. Nie był oficerem, nie posiadał specjalności wojskowej szczególnie ważnej dla nowo formowanego wojska - preferowano lotników i marynarzy -toteż pomijano go stale na liście osób

przewidywanych do ucieczki. Wreszcie zdecydował się postąpić tak jak wielu innych zwykłych żołnierzy: zorganizował ucieczkę na własną rękę.

Wojenne losy polskich żołnierzy na zachodzie znalazły już odbicie w niejednej książce, w niejednych opublikowanych wspomnieniach. Pisali je jednak przede wszystkim ludzie, którzy na szarą masę żołnierską patrzyli albo z wysokości stopnia oficerskiego, albo z pozycji osób, które w owej masie żołnierskiej czuły się obco. Zygmunt Filipowicz patrzył na losy polskiego żołnierza na zachodzie oczyma rzemieślnika z Lubartowa, zaplątanego w bieg dziejowych wydarzeń. Tak samo widziały wojnę dziesiątki tysięcy podobnych właśnie jemu. I dlatego warto zapoznać się z historią „Fryzjera z Karpackiej Brygady”.

Wraz z innymi żołnierzami swojej baterii Filipowicz znalazł się w obozie dla internowanych w pobliżu miasteczka Nagykunisza. Pięć tysięcy mężczyzn umieszczono w budynkach nieczynnej fabryki kawy zbożowej oraz w położonym tuż obok starym obozie jenieckim. Jeszcze z czasów pierwszej wojny światowej. Jakkolwiek Węgrzy odnosili się do Polaków z wielką życzliwością, nie zmieniało to faktu, że warunki życiowe były - szczególnie w początkowym okresie - fatalne. Spano w wielkim tłoku, na betonowej podłodze przykrytej tylko cienką warstwą słomy, jedzenie było mało kaloryczne, a porcje - niewielkie. (Wprawdzie okoliczni mieszkańcy podawali przez druty paczki z przyniesioną z domów żywnością, ale ta ich spontaniczna pomoc była kroplą w morzu wobec potrzeb pięciotysięcznej masy żołnierskiej).

Bateria artylerii przeciwlotniczej od początku trzymała się razem. Być może dlatego zdolali sobie szybciej niż inni zapewnić bardziej wygodne warunki egzystencji. Już wkrótce po przybyciu do obozu zbudowali z wykombinowanych gdzieś desek wielopiętrowe prycze, ale też zastawili nimi salkę, w której mieszkali, tak, że ledwie się można było przecisnąć z kąta w kąt. W pomieszczeniu o powierzchni 80 m kw. żyło przez długie miesiące 170 mężczyzn.

Zanim zaczęły się masowe ucieczki, Węgrzy pozwalali niektórym osobom wydalac się poza teren obozu i nawet dorywczo pracować w oddalonym o cztery kilometry Nagykunisza, Grupa polskich żołnierzy szła pod eskortą do miasteczka, a następnie była rozprawdzana do rolnych przedsiębiorstw. Właściciele tych przedsiębiorstw byli odpowiedzialni za swoich „podopiecznych”. Wieczorem grupa zbierała się w określonym punkcie i eskortowana przez strażników wracała do obozu. Wtedy to właśnie po raz pierwszy w czasie wojny Filipowiczowi przydał się wyuczony zawód: łatwo znalazł pracę w jednym z zakładów fryzjerskich w Nagykuniszo. Zarobki wprawdzie były mizerne, ale za to cieszył się względną wolnością.

Uciekano z obozu w różny sposób. Najbardziej „uczęszczana” była droga kanałem ściekowym, wiodącym z centralnego placu obozu daleko za druty. Kanał został odkryty przypadkowo, a po przecięciu przegradzających go siatek mających niegdyś chronić fabrykę

przed inwazją... szczurów, stał się stosunkowo wygodna trasą wylotową do Francji. Ta droga została jednak spalona w momencie, gdy jeden z uciekinierów, człowiek znacznej tuszy, uwiązał w kanale i to w dodatku akurat pod miejscem, gdzie stał posterunek węgierski.

Ucieczka, jaką przedsięwziął kapral Zygmunt Filipowicz wraz z trzema innymi kolegami, kłóciła się z wszelkimi prawami logiki, była od początku do końca organizowana w myśl zasady: „spróbujmy się tylko wydostać za druty, o potem jakoś to będzie” i... może właśnie dlatego udała się.

Z Filipowiczem zdecydowali się uciekać koledzy z baterii - Bortnik, Marian Chrobak, Kolanko oraz szeregowiec nie zapamiętanego nazwiska. Bez dokumentów, paszportów, bez cywilnych ubrań i pieniędzy postanowili przedostać się przez trzy granice i zgłosić się we Francji do 10 brygady.

Któregoś dnia zameldowali się u węgierskiego komendanta obozu z prośbą o wydanie pozwolenia na pójście do lekarza w Nngykunisza. Już następnego ranka maszerowali w towarzystwie jednego strażnika w kierunku miasteczka. Zamiast jednak udać się prosto do gabinetu lekarskiego, zaprosili najpierw swojego „anioła stróża” do gospody na szklaneczkę wina. Był to pierwszy i jedyny punkt planu ucieczki: strażnik miał zostać upity do nieprzytomności, a wtedy oni mieli się rozejść po mieście w poszukiwaniu cywilnych ubrań u znajomych mieszkańców Nogykunisza.

Plan zaczął się niebezpiecznie chwiać już w pierwszej fazie realizacji. Strażnik złapał wino szklanka za szklanką, a alkohol jakoś nie chciał mu iść do głowy. Trafili widać na niezłego specjalistę w tym względzie. Węgier chyba przejrzał ich zamiary, bo uśmiechał się złośliwie pod wąsem i zamawiał na koszt Polaków coraz to nowe kolejki. Co gorsza, skromne zasoby pieniężne czterech potencjalnych uciekinierów zaczynały się mieć ku końcowi. W pewnym momencie strażnik zrezygnował z zabawy i postawił sprawę jasno: „Wiem dobrze, o co wam chodzi, nie róbcie ze mnie idioty. Dajcie po pięć pengó od łba i sprawa załatwiona. Puszczę was wolno”. Cena nie była specjalnie wygórowana, pengó odpowiadał mniej więcej przedwojnemu złotemu, ale i to było zbyt wiele na kieszeń kandydatów na podróż do Francji. Filipowicz miał jednego pengó. Kolanko pięć, reszta - ani grosza. Po długich targach strażnik przystał i na tę sumę.

Uszczęśliwieni, poszli całą grupą do węgierskich znajomych Filipowicza aby wyprosić cywilne ubrania. Ale drzwi były zamknięte na kłódkę. No domiar złego, gdy wyszli z budynku i dość bezradnie rozglądali się po ulicy nie wiedząc, co dalej począć z odzyskaną wolnością, usłyszeli za sobą głośnie wołanie, o po chwili ujrzeli biegnącego w ich kierunku strażnika – „dobroczyńcę” na czele kilku węgierskich żołnierzy. Czy strażnik okazał się zwykłym naciągaczem, czy też po chwili zastanowienia przestraszył się owego czynu - do dzisiaj nie wiadomo. Tym bardziej nie zastanawiali się nad tym Polacy. Rzucili się do ucieczki - każdy w innym kierunku.

Filipowicz wpadł w plątaninę małych uliczek, kluczył nimi przez kilka minut, ciągle jednak mając pogoń na karku. W pewnym momencie olśniła go myśl, że gdzieś tutaj w pobliżu powinno być polska świetlica dla cywilnych uchodźców. Po kilku minutach odnalazł dom z odpowiednią tabliczką na drzwiach. Wśród starszych ponów spokojnie grających w szachy narobił niemałego zamieszania, wpadając do świetlicy z krzykiem: „Panowie, ratujcie, gonią mnie!”

Kierownik świetlicy okazał przytomność umysłu, wepchnął go do przyległego pokoju i zamknął drzwi na klucz. Filipowicz rozejrzał się po pomieszczeniu - było zupełnie puste. Tylko w kącie stał wielki kaflowy piec. Zanim zdołał ochłonąć z wrażenia, na korytarzu dał się słyszeć tupot nóg, a następnie chrobot klucza w zamku. „Znaleźli mnie!” - pomyślał Filipowicz. Skoczył za piec i wtedy zobaczył, że nie przylega on bezpośrednio do ściany. Bez chwili namysłu, ryzykując pęknięcie żeber. Zaczął się wciskać w pełną kurzu i pajęczyn lukę pomiędzy kaflami a murem. Tymczasem drzwi otworzyły się z trzaskiem, do pokoju wpadł pierwszy ze ścigających i posapując ze zdenerwowania... zaczął się wciskać za piec, za Filipowiczem. „Ścigającym” okazał się... Chrobak, który też przypomniał sobie o istnieniu polskiej świetlicy.

Po kilku minutach nadciągnęła „prawdziwa” pogoń, ale na szczęście Węgrzy nie zauważyli obu uciekinierów.

W wykombinowanych przez kierownika świetlicy cywilnych ubraniach i za jego protekcją Filipowicz i Chrobak dostali się do mieszczącego się również w Nagykunisza obozu dla polskich cywilów. Przy wciąganiu no obozową listę Filipowicz podał się za Zygmunta Markowskiego - tak brzmiało panieńskie nazwisko pozostałej w Polsce żony. Obóz, do którego trafili, różnił się bardzo od obozów wojskowych. Nie był strzeżony ani ogrodzony drutem kolczastym, uciekinierzy mieszkali w prywatnych kwaterach. Zachowywali pełną swobodę poruszania się po Nagykunisza. Ta swoboda omal nie skończyła się fatalnie dla Filipowicza i Chrobaka. Zbytньо zawierzyli swoim cywilnym ubraniom, kręcąc się po mieście bez zachowania zasad ostrożności. Ledwie zdołali umknąć napotkanemu przypadkiem węgierskiemu oficerowi, który zapamiętał ich twarze z obozu wojskowego.

Gdy opowiedzieli o swej przygodzie kierownikowi obozu, w którym teraz przebywali, ten uznał, że natychmiast muszą zniknąć z miasta A jedyną pomocą, jakiej mógł im udzielić, było podanie nazwy miejscowości na granicy węgiersko-jugosłowiańskiej, w której znajdował się polski punkt przerzutowy. Drugi etap podróży do Francji rozpoczynali nadal bez paszportów i kontaktów, mając za cały majątek 20 pengo zaoszczędzone przez Filipowicza z ostatniej zapomogi. Chrobak miał podróżować na koszt swego kolegi - pieniądze nie zwykły się go trzymać. Z pakowaniem się nie mieli trudności. Chrobak wybierał się w drogę tak jak stał, Filipowicz za cały bagaż miał paczkę, w której mieścił się ręcznik, mydło oraz przybory fryzjerskie.

Do pociągu dostali się bez przeszkód i nie niepokojeni przez nikogo przez całą noc jechali w kierunku Jugosławii. Był jeden z ostatnich dni moja 1940 r. Ich macierzysta jednostka pobierała właśnie z francuskich magazynów nowoczesny sprzęt wojenny.

O piątej rano byli na granicy. Dołączywszy się „na przyczepkę” do jakiejś zorganizowanej grupy uciekinierów przeszli nocą, w potokach deszczu - który przypominał im ostatnie chwile spędzone w Polsce - na stronę jugosłowiańską.

W polskiej placówce dyplomatycznej w Zagrzebiu otrzymali nareszcie paszporty i wizy francuskie oraz bilety kolejowe do Splitu. Z okien pociągu podziwiali wspaniałe krajobrazy Dalmacji, cieszyli się już teraz bliską podróżą statkiem przez Adriatyk i Morze Śródziemne - do Marsylii. Jugosławia wydawała im się krajem spokojnym i wesołym, szybko zapominali o ponurym, obozowym okresie węgierskim.

W Splicie skończyła się krótkotrwała sielanka. Prawie przez dwa miesiąca czekali na przybycie statku i... nie doczekali się go. W ciągu tego czasu padła Francja, Niemcy kończyli przygotowania do inwazji na Wyspy Brytyjskie. 10 brygada kawalerii pancernej kolejny raz odradzała się - tym razem w Szkocji. Filipowicz i Chrobak nigdy już nie mieli znaleźć się w jednostce, do której prawią od roku uparcie dążyli, a która z każdą zmianą w teatrze wojny oddalała się od nich od setki kilometrów.

Wśród żołnierzy polskich zgromadzonych w Splicie panowały dość ponure nastroje, a warunki życiowe, w jakich się teraz znajdowali, dodatkowo nie skłaniały do optymizmu. Może jeszcze najlepiej ze wszystkich wiodło się Filipowiczowi, który znowu wydobyl na światło dzienne przybory fryzjerskiego kunsztu i pracował w niewielkim, portowym zakładzie fryzjerskim.

Wreszcie nastąpił długo oczekiwany moment odjazdu. Tylko że marszruta polskiego transportu została zmieniona. W połowie, sierpnia sześćdziesięcioosobowa grupa „żołnierzy w cywilu”, wśród której znaleźli się także Filipowicz i Chrobak, ruszyła koleją przez Jugosławię i Grecję do Turcji. W Konstantynopolu przeprawili się przez Bosfor i już przez Azję Mniejszą pociąg wiozł ich aż do tureckiego nadmorskiego miasteczka Mersin. Tam czekał polski statek „Warszawa II” i tam dowiedzieli się, że wkrótce wyruszą do Palestyny, gdzie właśnie niedawno przybyła z Syrii Brygada Strzelców Karpackich, do której zostaną wcieleni.

Przez kilka dni „Warszawa II” stała na kotwicy, przyjmując kolejne grupy polskich żołnierzy, ciągnących z kontynentu europejskiego. Dla tych, którzy jak Filipowicz i Chrobak przybyli tu w pierwszych partiach, był to okres beztróskiego wypoczynku, opalania się i wielogodzinnych kąpiel w ciepłym morzu.

W ostatnich dniach sierpnia, gdy statek gotował się do podniesienia kotwicy, na wysoko wzniesionym brzegu morza zaczęły się pojawiać stado bocianów. Uciekały przed chłodami zaczynającymi ogarniać już Europę i tutaj znajdował się ich ostatni „przystanek” przed

skokiem przez Morze Śródziemne do Egiptu. Nawet późną nocą kapral Zygmunt Filipowicz słyszał ich klekotanie, gdy wielkimi grupami przelatywały wysoko nad pokładem statku w drodze na południe.

Jeszcze raz miał spotkać stada bocianów - w Egipcie, ale choć Egipt wydawał się bliski, czekała go jeszcze długa droga...

Pierwodruk: „Kamena”, 1970, nr. 11, s. 1,7.